

ANIOŁ STROŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży p lskiej.

Wychodzi co tydzień.

Bądź wesola!

Bądź wesola, o dziecino,
Dzwoń piosenkę, dzwoń,
Chwile szczęścia prędko miną,
Więc je goń, ach, goń!

Łezka oczek niech nie mroczy,
Niechaj dźwięczy śmiech;
Świat tak piękny, tak uroczy,
Więc się smucić grzech!

Wszakże tobie, drogie dziecie,
Szczęścia sprzyja blask;
Nie brak ci niczego w świecie,
Bóg nie skąpi łask!

Wszystko mówi naokoło:
Teraz płakać grzech!
Bądź swobodną, bądź wesolą,
Niech brzmi piosnka, śmiech!



O dwunastu rozbójnikach.

Bajka.

(Ciąg dalszy.)

— Nie pletłabyś, kobiecino; kiedy ci dobrze na Karkiszu, będzie też dobrze i twemu dziecku. Ze Stacha gracki młynarczyk, oddam mu młyn w dobrym stanie i spocznę przy nim na stare lata. Czasem mu też pokuję kamieni, które ojcu mojemu i mnie chleb dawały, a będzie nam wszystkim dobrze, Marysiu.

Byłby dłużej gawędził rozmarzony miodkiem Szymon, ale mu przerwało mocne psów szczekanie.

— To murzyn, — rzekł, słuchając z uwagą — a on na wiatr, ani na słońce nie szczeka!

Przyciągnął mocniej pasa i przysporzył kroku.

— A słowo stało się ciałem! — szepnęła młynarka i poczęła odmawiać pacierze.

Ledwie trzeci kończyła, kiedy już byli u młyna. Psy wyciągnawszy łańcuchy, najeżyły grzbiety; księżyc właśnie na drzwi zachodził i oświecał rozkopaną jamę; z okien nie widać światła.

— Żle żono!... złodzieje!... Bašku! — wrzasnął młynarz gwałtownie.

— Tatynku, tatynku, ratuj! — odpowiedziało ze sieni.

Zaskrzypiały wrzeczadze, drzwi się z jękiem rozwarły. Młynarz stąpiwszy na próg, uskoczył w tył, jakby mu kto oczy warem zachlusnął.

— Chryste Jezu! co to jest — trupy, kto pomordował?

— To ja, ojczu! ja; oni przyszli, podkopali próg, włazili, jam toporkiem ucinając głowy — wyjęknęła u nóg ojca wpółmartwa Basia.

Stary pokiwał głową, przetaił oczy jakby ze snu zbudzony i nie wierzył własnym oczom, aż

się dotknął trupa i zobaczył, że zimny, że głowa gdzieindziej, a ciało gdzie indziej. Zamyślony poszedł do izby, oparł głowę o piec.

— Jak to było? — zapytał.

Basia poczęła opowiadać, jak murzyn na złodziei zaszczekał, jak się pod drzwi podkopywali, jak ona chcąc się schować w komorze, zobaczyła tam topór ciesielski, jak nim wszystkie głowy pouncinała, a trupy wciągała do sieni, jak jeden uciekł, bo go źle trafiła.

— Jeden uciekł? — mruczał młynarz pomieszany, — jeden uciekł!... chwała Bogu!... ale świat nie powinien wiedzieć, że reszta na Karkiszu zginęła! Złym ludziom i nieprzyjaciółom dogodziłoby się nie lada. Tu pustkowie, tu ludzi pomordowano!

— Boże, zlituj się! — wołała, załamując ręce, młynarka.

— Ciszej kobieto! poszłabyś lepiej drzwi sienne zaryglować i przynieść z komory trzy rydle; w sieni ich zakopiemy!

Przy świetle latarni zaczęto kopać grób w milczeniu, czasem je lkanie Basi przerwało, czasem zadzwonił rydel o kamień uderzony. Potem weń wrzucono jedenaście trupów, potem jedenaście głów osobno.

Dwa sążnie głęboko schował się czyn krwawy przed światem, ale schować się nie mógł przed młynarską rodziną. Ona się wszystka zmieniła.

Stary Szymon, często zamyślony, mniej mówił niż zwykle. Młynarka ledwie raz na dzień rozповідаła córce o owych wróżbach starej kobiety, bo już sama o nich wątpić zaczęła. Basia wiedziała codziennie jak kwiatek w jesieni, kiedy go sron zwarzy. Jej oczy we łzach pływały i gasły; już nie potrafi niemi podbić serca owego pana w bławatach, w złocistej karecie. Ona wszystko zrobić gotowa byle dłużej na Karkiszu nie zostać. Tam jej tak okropnie, tak strasznie, że się wśród białego dnia własnego cienia lęka. Napróżno młynarczyk z Łobza zachodził do niej skwapliwie; onby z nią w posagu Karkisz odebrał, a onaby na Karkiszu umarła.

Tak dwa lata minęły. Trzeciego lata, w dzień skwarny, w samo południe, przejeżdżał powóz czterokonny groblą obrzańską. Przed młynem zatrzymały się spienione konie; Basia wyszła przed drzwi. Jakiś pan prosił o świeże mleko, a wypiwszy przyniesione, poglaskał Basię po twarzy i rzekł:

— Jutro z powrotem wstąpię do was i zapłacę.

Widziała to i słyszała młynarka, polewając na bielniku płótno. Nuż więc do męża z dobrą nowiną, nuż powtarzać wróżby starej kobiety co do joty.

Nadzieja, konająca od dwóch lat prawie, znów odżyła w jej duszy. Całe poobiedzie uprzątała izbę; całą noc śniło jej się o córce: jak by-

ła wielką panią, jak jej się wszyscy kłaniali; fraszka pani ekonomowa z Niedźwiad, u której za młodu była piastunką.

Nazajutrz koło podwieczorku zajęchała karetą przed młyn. Ten sam pan, co wczoraj pił mleko, wszedł do izby, pochwalił Pana Boga, przeżegnał się święconą wodą z kropielniczki, wiążącej nade drzwiami i zapytał o zdrowie.

— Bóg zapłać panu! — odpowiedziała młynarka i podała mu zydel czerwono malowany w złote kwiaty.

Na gościnności nigdy u nas nie zbywało; więc też i Basia zakrzętnęła się około podwieczorku. Nakryła stół bielizną, zastawiła sera, masła i pszenne chleba, a młynarz zeszedł do sklepu po gąsiorek lipcowego. Wszyscy byli radzi gościowi, tylko kądle warczały i patrzyły z zpodelba na niego. Pan był przystępny, rozmowny, co się rzadko zdarza; to mu też stary gawędził o tem co było; a wszystko co było, było lepsze niż to, co jest. Zwyczajnie jak stary, płótl trzy po trzy.

Zdaje się jednak, że gość tylko pół uchem słucha, bo coś okrutnie córce w ząbki zaglądał. Snać sobie w niej upodobał, bo aż do wieczora został w młynie i przyrzekł wkrótce znów przyjechać. Co za szczęście dla matki!... już teraz nie wątpi.

I doprawdy też powrócił pan bławatny po dwóch tygodniach; wszedł jako po dawnej znajomości do młyna, padł starym do nóg i prosił o córkę.

Szymon osłupiał; ze zdziwienia języka w gębę zapomniął; wtem mu młynarka dość głośno na ucho szepnęła:

— Widzisz, Szymonie, jam dawno powiadała, to przeznaczenie Boże! Bóg cię skarże za upór, Szymonie!

— Niech się jego święta wola dzieje! — rzekł Szymon, a jeżeli do tego czasu niechętnie w dom swój wróżki i cyganki przyjmował, to od tej chwili był gotów podzielić się z niemi połową swojej chudoby, tak mocno w ich przepowiednie uwierzył.

Młynarka skinęła Basię do komory i długo sam na sam z nią rozmawiała. Młynarz naraźał się z przyszłym zięciem o weselu; onby je chciał wyprawić dopiero po zasiewkach, może dla tego, aby się przygotować na sute i huczne gody wedle swego stanu, a może też z innej przyczyny.

Zięć przeciwnie — dziś, jutro chciałby wziąć ślub z Basią, bez wielu świadków, bez hałasu, może dla tego, że ją bardzo kocha, a może też z innej przyczyny! Prośby i nalegania jego przemogły.

O biedna, biedna Basia! nie było u niej według zwyczajów ani swatów, ani omówin w sobotni wieczór, ani jej we weselną niedzielę nie wiozły na drabiastym wozie druchny i młodzianki

do kościoła! Nie zaśpiewano jej siadanego. Pan młody nie wywijał na krępym koniku z czerwona chustką i rozmarynem u bata, ale wziął ją ze sobą do karety czterokonnej, złocistej. Na świetnym kobiercu ksiądz stula ręce związał, nie zapowiadano ni razu z ambony, bo czegoż pan możny nie może!

Biedna Basia! nie miała na jej weselu druzby przodownika, nikt jej nie zatrzymał na krzyżowce, nikt nie podał bochenka, ani kądzieli, aby wypróbować czy dobra będzie z niej gospodyni. Oua dziś wielką panią; to też kto inny za nią chleba ukroi i kądziel uprzedzie. Przy wieczerzy nie zdmuchnięto przed Basią świecy, a przecież dla niej zgasło światło swobody! Żadna z młodzieńnek nie poszła w jej szmatach zwodzić pana młodego; a któż wie, czy z niego będzie mąż wierny. Onćci prawda głaszcze Basię po twarzy, ale on także głaszcze owe dwa kądle, a kądle warczą i nie chcą przyjąć chleba z jego ręki. Basia wdzięczniejsza za pieszczoty pana, mizdrzy mu się, jak umie. Szczęśliwa! już jutro Karkisz opuszcza!

Panu spieszo, trzeba mu wyjechać daleko w świat i za granicą dać młodą żonę na wielką panią wyuczyć, żeby wieźiała jak usieść na bławatnych poduszkach, jak stapać po weskowych podłogach, jak gości witać, jednych uśmiechem, drugich dygiem, a trzecich z góry, wedle stanu. Wszystkiego ją każe nauczyć, żeby wieźiała, kiedy chorować na ból głowy, a kiedy w omdlenie wpadać; jak pieścić męża, a jak mu rogi przypinać. To długa nauka; panu spieszo.

(Dokończenie nastąpi.)



Bajka o kwieciu paproci.

Co bajka, to nie prawda, — a przecież ludzie stare bajki powtarzają, bo w nich często dobra nauka się mieści. Ot naprzykład posłuchajcie bajki o kwieciu paproci, w której jasno się mówi, że człowiek niedbały zgarści nawet szczęście wypuści.

Było to południe, słońce paliło ziemię. Po polu gładkiem i pustem szedł Wojciech za pługiem i zwolna poganiał woły. Pot spływał mu kroplami z czoła, ocierał je rękawem koszuli i wzdychał ciężko. Kiedy niekiedy spoglądał ku niebu i pytał się słońca: „Daleko tam do południa?”

Leniwe woły wlokły się zwolna, bo i wołom upał dokuczyć potrafi.

Wreszcie południe nadeszło. Wojciech wyciągnął się pod gruszą w polu rosnącą i zdrębnął się. Puszczono swobodnie woły powlokły się zwolna do lasu za stawą, boć na zacранеj ziemi nie było co jeść, a las rósł opodal i pachniał żywicą sosen, paczkami młodych dębeczaków i świeżą trawką.

Zbudziwszy się, Wojciech począł szukać wzrokiem wołów i zafrasował się wielce, nie spostrzegłszy ich na polu.

Potań! czupryne, westchnął:

— O, Boże! Boże! toć to pańskie woły — i poszedł nieborak szukać straty; zaszedł aż do lasu.

Chodzi, rozgląda się dookoła, wzdycha i narzeka, a wołów jak nie ma, tak nie ma.

Już północ, on zguby nie znalazł, coraz większy smutek tłoczy mu duszę. Jakże tu wracać bez wołów do dworu?

Chodzi po krzakach, depce mech i paprocie, wzdycha i skarży się:

— Oj, doloż ty, dolo! za cóż mnie tak gnębisz?

Usłyszały kwiatki leśne jego skargi, usłyszały je paprocie i mchy i nuż szeptać między sobą:

— Trzebaby go pocieszyć.

— Toć dziś wigilia św. Jana, kto znajdzie o północy kwiat paproci, znajdzie wszystkie skarby w lesie — mówił dąb.

— Ale dla czego ten człowiek kwiatu paproci nie szuka? — szepnął mech.

— Prawda, dla czego? — pytała macierzanka.

— Niedołęga jakiś, nie warto zajmować się nim — przemówiły fiołki.

— Czyż nie widzicie, jak jest zmartwiony — ujęła się za biedakiem macierzanka. — Zapomniał pewno, jaki to dziś dzień mamy. Żal mi go serdecznie.

— Żal nie na wiele się przyda — odpowiedziała paproć. — Przypomnę ja mu, jaki to dzień dzisiaj.

I kiedy Wojciech koło niej przechodził, wstrząsnęła liśćmi i rzuciła do jego buta kwiat błyszczący, jak perła. On tego nie widział, ale za to ujrzał naraz swoje woły, więc pobiegł do nich uszczęśliwiony.

— Oj, moje wołki, moje kochane wołki, jakżeście mi duszę nagryzły — rzekł do nich wesoło, — a bodaj was też anieli niebiescy mieli w swej opiece.

Wtem coś błysnęło we mchu, tuż przy jego nogach. Wojciech schyla się, patrzy, oczom własnym nie wierzy, stos złota widzi.

— Oj, dla Boga — zawołał — toć ja tu skarb znalazłem!

I otworzył usta szeroko, ziewnął, potem przypomniał sobie, że jeszcze nic nie jadł dnia tego i że mu się spać chce.

— Pójdę do chałupy — rzekł — zjem wiececzkę, prześpię się trochę i jutro przed świtem tutaj powrócę z rydlem i wozem, zabiorę woły i pieniądze, będę sobie teraz pan.

Jak powiedział, tak też i uczynił.

Gdy w chałupie zdejmował buty, aby na pościeli się wyciągnąć, kwiat paproci wypadł i potoczył się tam, gdzie popiół walał się na ziemi i znikł w tym popiele, lecz Wojciech tego nie widział.

Nazajutrz ubrał się i poszedł do lasu, ale kwiat paproci pozostał w popiele, więc próżno dzień cały chodził po lesie; ani wołów nie znalazł, ani skarbów, a gdy wieczorem poszedł do dworu i przyznał się do nieszczęścia, które go spotkało, pan oddał go za niedbalstwo.



Pochlebca.

— Był raz jeden król, imieniem Kanut, panował on w kraju, co się nazywa Dania.

Otóż tego Kanuta słuchali i kochali wszyscy poddani, bo sprawiedliwie i mądrze rządził, ale to go w dumę nie wbijało, owszem, starał się zawsze być surowym dla siebie.

Przechadzał się raz z dworzanami nad morzem, a jeden z nich, jakiś pochlebca, chwalił króla powiedział:

— Ty, królu, możesz wszystko, co tylko zechcesz, bo nie ma potężniejszego od ciebie.

— Tak sądzisz — odpowiedział mądry król — chodź więc tu nad sam brzeg, siądź na piasku i czekaj, a ja każę balwanom, aby cię nie zatopili.

Było to w czasie przypływu morza, posuwało się ono ciągle i zalewało brzeg, po którym wprzód chodzić było można.

Biedny dworzanin struchlał, nie śmiał nie usłuchać króla, a wiedział, że przypływająca woda zabierze go z pewnością.

— Widzisz, przyjacielu — powiedział wtedy do niego król — chwaliłeś moją potęgę, a teraz przekonałeś się, jak człowiek mało może.

Bóg tylko jest Wszechmocnym, ja zaś jestem Jego sługą, tak jak i każdy człowiek! Słuchać mnie i szanować jest waszym obowiązkiem, ale pochlebstwem brzydzić się powinien każdy uczciwy człowiek.

I na tem skończyła się rozmowa mądrego króla, którego też cały naród Wielkim nazwał.



ŁAMIGŁÓWKI.

I.

Zagadka.

Jasnemi oczkami mrugamy tak sobie,

W ciemnej nocnej dobie.

Czasem wychodzim w naglącej potrzebie,

Uprosić coś sobie.

Albo też nami usługuje dziewczyny

Zatkają kominy.

II

Szara da.

Jedno zlepią, drugie pisane,

Wszystko drogie, gdy komu znane.

III

Zagadka.

Obie części są na twarzy;

Razem wzięte, są przestrzenie.

Któż powiedzieć się odważy,

Jakie obu jest znaczenie?



Rozwiązanie łamigłówek z nr. 32.

I

Łamigłówka kryształowa.

M

k o s

M a r t a

o s a

k

N i l

I r e n a

m a r o d e r

M e k k a

P o l

II

Szara da.

Mi — no — gi.

III.

Zagadka.

Rów — wór.

